

Wstęp

W Królestwie Neapolu przyszedł na świat człowiek, Giovanni Bernardino Bonifacio, którego żywot rozegrał się na granicy fikcji i rzeczywistości. Kiedy nikomu się nie śniło o samolotach, samochodach czy pociągach, wielokrotnie przemierzył Europę; poznał upały Południa i mroźne zimy Północy. W tamtych czasach podróżowanie było zjawiskiem bardziej powszechnym niż w średniowieczu, ale dotyczyło głównie kupców, nie zaś arystokracji (może z wyjątkiem króla Karola V), do której należał markiz d'Oria. Bonifacio napodróżował się tyle, co niejeden kupiec. Liczbę jego podróży można przyrównać do tych, które odbył wydawca i drukarz Pietro Perna, z tą różnicą, że Bonifacio wędrował często bez określonego celu. W epoce, kiedy język angielski odgrywał jeszcze dość podrzędną rolę, markiz prowadził konwersacje z wieloma sławnymi ludźmi w języku, którym posługiwali się przedstawiciele warstw wykształconych, to znaczy po łacinie. Ale mógł się z nimi porozumieć również za pomocą swego ojczystego języka, włoskiego, ponieważ mówiło nim wiele osób wysokiej rangi, zarówno w południowej, jak i w północnej Europie.

Jego arystokratyczne pochodzenie i styl życia przejawiały się nie tylko w tym, że bywał w środowiskach osób z wyższych sfer, ale także w jego wyglądzie zewnętrznym. Co prawda nie dysponujemy wizerunkiem, który przedstawiałby całą postać markiza, ale portrety w półpostaci pozwalają na wyobrażenie sobie jego rysów. Przez dwadzieścia lat, od 1537 do 1557 roku, kiedy był panem swej marchii, miał kształty nieco zaokrąglone. W okresie wygnania natomiast znacznie wyszczupłał. Rysy jego twarzy były regularne, a oczy duże, o głębokim spojrzeniu. Włosy zachował aż do śmierci. W przepływie skromności

opisał siebie jako człowieka „niskiego wzrostu”¹. W rzeczywistości, biorąc pod uwagę epokę, w której żył, prawdopodobnie był mężczyzną średniego wzrostu, mierzył około 160–170 centymetrów.

Irena Fabiani-Madeyska, polska badaczka, która zajmowała się Bonifaciem, powiedziała mi kiedyś, że dzieje tego humanisty to dobry materiał na film. Jej zdaniem można by w ten sposób ukazać barwne aspekty jego charakteru i losów. Nie jestem jednak przekonany, że ten środek wyrazu byłby w stanie oddać elitaryzm oraz wszelkie odcienie myśli, uczuć i wiary markiza. Ponadto jego podróże, moim zdaniem, nie byłyby dość inspirujące dla producenta filmu, nie miały bowiem spektakularnego charakteru. Podróże stanowiły dla Bonifacia środek pozwalający dać upust jego niepokojom, były efektem jego choroby. Z psychologicznego punktu widzenia nie podejmował ich z wyboru, lecz niejako pod wewnętrznym przymusem.

Film pokazałby nam osobę trawioną depresją, samotnika, który najczęściej podróżował konno albo – gdy to było możliwe – na pokładzie statku. Na końskim grzbiecie czy na mule trzykrotnie przekraczał Alpy. Statkiem na ogół pływał wzdłuż Renu albo pokonywał szlak morski z Gdańska do Londynu. Zawsze zabierał ze sobą spory bagaż złożony z różnych sprzętów i książek, który w 1586 roku, na jedenaście lat przed jego śmiercią, liczył osiem jucznych tobołów, czyli około dwunastu kwintali. W filmie moglibyśmy zobaczyć jego psa oraz dwie czy trzy towarzyszące mu ciemnoskóre służące, najprawdopodobniej Berberyjki. Obecność przy nim owych służących od momentu opuszczenia ojczystej ziemi unaocznia nam bliskość południowych Włoch i Afryki – bliskość, która jest nie bez znaczenia również w naszych czasach – a także częste wówczas zarówno po jednej, jak i drugiej stronie napaści w celu brania w niewolę mężczyzn i kobiet. Na przykładzie Bonifacia widzimy jednocześnie, że również chrześcijanie mieli ten grzech na sumieniu. Z drugiej strony jednak w 1548 roku powstała w Neapolu Confraternita della Redenzione degli Cattivi (Kon-

fraternia Wyzwolenia Niewolników), kongregacja skupiająca głównie bogatych *supporters*, mająca na celu wykup chrześcijan, którzy popadli w niewolę muzułmańską. Fernand Braudel nie wahał się wówczas nazwać Morza Śródziemnego jeziorem tureckim.

Centralnym tematem filmu powinien być jednak wewnętrzny i zewnętrzny dramat bohatera, co nie jest łatwo przedstawić na ekranie. Należałoby użyć szczególnych sposobów narracji, żeby ujawnić całą złożoność przeżywanych przez bohatera dramatów i nakręcić przy tym dobry film. Trzeba by było ukazać Bonifacia jako ofiarę własnych ułomności, w podobny sposób, jak postać historyka z dramatu *Hedda Gabler*, napisanego i wystawionego trzysta lat później przez Henrika Ibsena. W przeciwnym razie markiz mógłby zostać upozowany na walczącego o wolność sumienia bohatera, którym w istocie nie był.

Jak wspominałem, taki film zakłada narrację dotyczącą zarówno dramatu wewnętrznego, jak i zewnętrznych niepowodzeń. Odtworzenie wewnętrznego życia Bonifacia nastęrczałoby jednak pewnych trudności, nie ma w nim bowiem wybuchów radości, eksplozji bólu czy gniewu. Nasz bohater doznawał silnych uczuć, o czym świadczy jego kaligrafia z czasów młodości, ale jako człowiek szlachetnego urodzenia potrafił nad nimi zapanować, a nawet całkowicie je stłumić. Nie znajdziemy śladu jego namiętności miłosnych. Najbardziej spektakularne wydarzenie z jego życia rozgrywa się na zupełnie innej płaszczyźnie. Chodzi mianowicie o głęboko przeżyte nawrócenie, którego ślad znajdujemy w notatce umieszczonej na stronie psalterza, kiedy to Bonifacio drżącą ręką kreśli swoje imię, nazwisko i datę (była to sobota przed Niedzielą Palmową), po czym dodaje: „Dominus. In vigilia anuntiationis beatae virginis, hora xvi, Jesus Christus”.

Książka, w której znajduje się to świadectwo, nigdy nie była nikomu dostępna za życia naszego bohatera. Oznacza to, że Bonifacio zanotował wyłącznie dla siebie owo doświadczenie, które uznał za wyjątkowe. Czy było to doświadczenie katolickie, czy protestanckie?

Należało do religii, w której się urodził, czy do tej, która w przyszłości miała stać się jego wiarą? Nigdy się tego nie dowiemy. Pewne jest jednak, że zamiast się oddawać przyjemnościom z młodymi rówieśnikami, Bonifacio był owładnięty przez *raptus fidei*. Zawsze pozostał człowiekiem wiary, a nie rozrywki. Nie był też intelektualistą – nic bardziej mylnego niż stwierdzenie, że był wolnomyślicielem. Nie był mistykiem, ekstazykiem ani spirytualistą. O tym, że nie miał usposobienia kupca, wspominałem już uprzednio. Dodam, że brakowało mu również temperamentu księcia i żołnierza. Jego silną stroną była religijność, cecha, która dziś nie wzbudza szerszych sympatii, ponieważ żyjemy w świecie, gdzie adepci niektórych religii i sekt szerzą urojone, a czasem terroryzujące wizje. Nic więcej nie da się powiedzieć o tym najbardziej wyrazistym epizodzie jego wewnętrznego dramatu.

Ktoś, kto mimo wszystko chciałby nakręcić film oparty na dramatycznych wydarzeniach z zewnętrznego życzka markiza, powinien bez wątpienia wspomnieć o katastrofie statku, którym w 1591 roku podróżował Bonifacio, i o utraconym przezeń wtedy wzroku. Ta tragedia zdeterminowała jego dalsze losy. Przez ostatnich sześć lat życia Bonifacio niewiele podróżował i nie był już w stanie niczego przeczytać. A trzeba wiedzieć, że jego głównym zajęciem przez cztery dziesięciolecia była lektura całej masy książek, około dwóch tysięcy tomów, które zakupił. Po wypadku w porcie gdańskim w 1591 roku cały swój księgozbiór podarował temu miastu, które w zamian zapewniło mu dożywotnie utrzymanie. W ten sposób Bonifacio stał się fundatorem biblioteki, która, przeszedłszy różne koleje losu, dzisiaj nazywa się Biblioteką Gdańską Polskiej Akademii Nauk.

Kiedy mówimy o mieście, należy przypomnieć, że Bonifacio pochodził z zamku położonego w wiejskiej okolicy, w późniejszym czasie jednak często przebywał w miastach, między innymi w Neapolu, Wenecji, Bazylei, Lyonie, Paryżu, Londynie, Krakowie, Wilnie, a przez dłuższe okresy także w Wiedniu, Norymberdze i Gdańsku.

Mimo to nigdy nie był człowiekiem miasta. Unikał zgromadzeń, hałasu, widoku tłumu. Kochał samotność, spokój niezakłócany emocjami, studiowanie oparte na medytowaniu, intelektualnym trawieniu materii tekstu; nie był skłonny do zbytnej dociekliwości. Jeśli godził się na dłuższy pobyt w mieście, uciekał do klasztornej celi. Wówczas jego ulubioną formą kontaktów towarzyskich stawała się wymiana myśli twarzą w twarz z kimś innym: w Bazylei z jednym z Amerbachów, w Norymberdze z kimś z rodziny Camerariusza, w Gdańsku z Welsiusem, profesorem gimnazjum; być może również z Julią, swoją kochanką, a niewątpliwie z obiema paniami Radziwiłłowymi, o których będzie mowa w drugim rozdziale. Kiedy był jeszcze człowiekiem zamożnym, interesował się zakupem opuszczonych zamków oraz wiejskich posiadłości.

Aby wrócić do idei filmu, jaką miała zmarła już Irena Fabiani-Madeyska, pół Włoszka pół Polka, należy podkreślić, że zabrakłoby nam przede wszystkim wątku miłosnego. Bonifacio nie był homoseksualistą; kochał kobiety, ale jego predyspozycje uczuciowe były ograniczone. Ograniczone jego przewrażliwieniem i narcyzmem, zakorzenionymi w niestabilnym ego; poczuciem wyższości z powodu swego arystokratycznego pochodzenia oraz potrzebą wolności osobistej. Wydaje się, że Bonifaciowi nigdy nie udało się zdobyć kobiety, która mu się podobiała. Wiadomo natomiast, że zaspokajał swoje żądze z jedną z najładniejszych i najbardziej uległych pośród jego ciemnoskórych służących. Czy można tu mówić o miłości? Pewne jest, że w przeciwieństwie do wielu innych kobiet, do Julii nie odnosił się z lekceważeniem i płakał po niej, kiedy od niego odeszła z innym, prawdopodobnie bardziej męskim kochankiem.

To prowadzi nas do stwierdzenia, że Bonifacio zbyt męski nie był. Jego prestiż wiązał się głównie z pieniędzmi, dopóki w morskiej katastrofie w 1591 roku nie stracił wszystkich swoich bogactw. Swój majątek zawdzięczał hipotekom odziedziczonych posiadłości neapolitań-

skich i apulejskich. Kiedy 7 maja 1557 roku² pod groźbą prześladowań inkwizycji opuścił ojczyznę, był człowiekiem bogatym i mógł sobie pozwolić na wspomaganie wielu literatów, zarówno we Włoszech, jak i za granicą. Jeden z nich, Lodovico Dolce, pisarz wenecki, wszechstronny, choć nieco powierzchowny³, otaczał go szacunkiem do tego stopnia, że w swoim dziele *Vita di Carlo V* wielokrotnie mylił genueńskich Doriów z apulejskimi d'Oriami, nawet jeśli nie faktycznie, to przynajmniej w pisowni. Bonifacio sprawował swój mecenat przez prawie dwadzieścia lat, do momentu, kiedy się zorientował, że jego kapitał zbyt szybko zaczyna topnieć. Zmniejszanie się sumy, którą miał do dyspozycji, było w dużej mierze spowodowane tym, że w myśl doktryny społecznej wyznawanej przez niektórych protestantów nie chciał pobierać procentu od pożyczanych innym pieniędzy. Wolał żyć w zgodzie z imperatywem sumienia, niż bez trudu zapewnić sobie dożywotnią rentę. Pieniądze topniały również ze względu na duże sumy wydawane na kosztowne książki, co zdarzało się aż do lat sześćdziesiątych. Bonifacio nie ucierpiał z powodu bandyckich napadów, które w tamtych czasach nie należały do rzadkości. Oszukiwano go wprawdzie przy zakupach i płatnościach za usługi⁴, ale nigdy nie padł ofiarą przemocy czy agresji w celach rabunkowych. Dlatego właśnie w ostatnich latach pobytu w Gdańsku napisał anakreontyczny wiersz, w którym dziękował Bogu za to, że go miał w swej opiece⁵. To kolejny argument za nieodpowiornością takiego środka medialnego, jakim jest film. Sam Bonifacio opowiadał, że był wielokrotnie narażony na przykrości i niebezpieczeństwa⁶ na drogach, które przemierzał, na morzach i rzekach, po których żeglował, ale aż do 1591 roku udało mu się uniknąć nieszczęśliwego wypadku.

Wspominałem o sumieniu. Wsluchiwanie się w głos sumienia stanowiło nić przewodnią w życiu Bonifacia. Ukształtowane przez Biblię, było dla niego niezawodnym drogowskazem, który nie sprawdził się tylko w dwóch wypadkach: w pozorowaniu praktykowania katolicyzmu

w ojczyźnie oraz, jeśli spojrzymy na to w kategoriach współczesnych, w sposobie, w jaki traktował swoje służące. W okresie poprzedzającym lata 1558–1560 Bonifacio, podobnie jak większość szesnastowiecznych uchodźców włoskich, był rzecznikiem wolności sumienia w łonie chrześcijaństwa. To wtedy, jak się wydaje, dokonał najważniejszego czynu w swojej historii, finansując publikację *De haereticis an sint persequendi*, liczącej około dwustu stron książki wyrażającej protest przeciwko prześladowaniom i wymierzaniu kary śmierci za przekonania religijne. Był to frontalny atak na praktyki stosowane przez Kościół katolicki. Książka została wydana na przełomie lat 1553–1554, w momencie kiedy jeden z nowych Kościołów – z Genewy – zszedł na drogę starego, a mianowicie posłał na stos odszczepieńca.

Bonifacio potrafił zacierać swe ślady, kiedy nie chciał, by je odkryto. Podobnie jak nigdy nie wspominał o swoich miłostkach, co zrozumiałe, tak też uparcie milczał w sprawie publikacji z 1554 roku i nigdy jej nie włączył do swojej biblioteki. Co więcej, w późniejszym okresie zakwestionował problematykę poruszaną w tym tomiku, ponieważ uważał, że wolność religijna, z jaką spotykał się w mieście takim jak Bazylea czy w państwach takich jak Polska, była nadmierna. Zdarzyło mu się potępiać tych, których inkwizycja prześladowała za poglądy dotyczące tajemnic wiary, a którzy przebywali w tamtych stronach; powtarzał z naciskiem, że należy wierzyć, a nie dociekać. Obawiał się, że wątpliwości jego przeciwników mogą doprowadzić ich do ateizmu. Po tym przełomie zaczął się domagać, aby przekonania religijne były wyznawane otwarcie, a nie w ukryciu. Około trzydziestego roku życia przystąpił do protestantyzmu w wydaniu Melanchtona, który był protestantyzmem bardziej liberalnym, uznającym – tak ważne we Włoszech – więzi tradycji antycznej z chrześcijaństwem. Z tego względu Bonifacio wspierał finansowo wydania poezji i prozy antycznej oraz wczesnego renesansu, a także sam pisywał wierszowane parafrazy psalmów.

Bonifacio potępiał wielu podejrzanych o herezję, niekiedy dotyczące spraw doczesnych. Z drugiej strony uznawał pewną zasadność astrologii. Miał naturę zdecydowanie odmienną od Kopernika, który był od niego starszy o czterdzieści cztery lata. I tak jak mówiłem, Bonifacio był człowiekiem wiary, a nie intelektu, gdyby bowiem było inaczej, sam napisałby jakieś znaczące dzieło. Z braku takiego tekstu wszelkie dane dotyczące jego życiorysu musimy ustalać na podstawie setek listów, które się zachowały, oraz notatek i znaków na marginesach blisko tysiąca tomów, które dotrwały do naszych czasów. Dopóki w wieku siedemdziesięciu czterech lat nie utracił wzroku, głównym sposobem komunikacji z innymi były dla niego listy. Popadał w rozpacz lub złość, kiedy nie dostawał na nie natychmiastowej odpowiedzi⁷. Większość listów znajduje się w Bazylei, książki natomiast zachowały się w Gdańsku. Biblioteki i archiwa apulejskie w niewielkim stopniu mogą wzbogacić naszą wiedzę o markizie d’Oria – przechowywanie dokumentów związanych z Bonifaciem było zbyt niebezpieczne ze względu na ich hereetyckie pochodzenie i na możliwość podejrzeń o współudział w sprawie.

Jako człowiek wierzący Bonifacio był niewzruszonym moralistą. Większość jego zapisków i oznaczeń na marginesach książek przechowywanych w Gdańsku sprowadza się do uwag o charakterze moralnym. Punktem wyjścia dla tych notatek była na ogół jego sytuacja osobista, co sprawia, że spotykamy się z wewnętrznym dialogiem, który prawie zawsze opiera się na jego punkcie widzenia i nie ujmuje danej problematyki z bardziej ogólnej perspektywy. Mając ograniczone kontakty towarzyskie, markiz nie potrafił się utożsamiać ze sposobem odczuwania i myślenia innych, niezależnie od tego, czy to chodziło o prosty lud, czy osoby z jego środowiska. I, rzecz jasna, nie mogło mu nawet przyjść do głowy, że ktoś czterysta lat później będzie przesuwał kartki jego książek, próbując na ich podstawie odtworzyć jego biografię. Bonifacio był zdecydowanym samotnikiem, który wołał przebywać wśród książek niż pośród zwykłych ludzi.

Był moralistą, a jednocześnie do głębi humanistą. Tematami pierwszorzędnej wagi, tym, co stanowiło przedmiot jego osobistych wyborów, były, jak wspominałem, przyjaźń, bogactwo, wiara, łaska, ojczyzna (za którą tęsknota nigdy go nie opuściła), ciekawość teologiczna i naukowa, grzech, oszczerstwo (był oskarżany o rozwiązłość w stosunku do ciemnoskórych służących), krytyka Kościoła i kleru, szczerowość, wolność, cnota, sława, człowiek wobec świata i wobec Boga, trudy życia, marność spraw ziemskich, interioryzacja tego, co się zdarza, i tego, w co się wierzy, współczucie i pobłażliwość, starość i śmierć. Jak to podkreślał Cantimori, była w nim silna tendencja stoicka. Najbardziej trapił go rozdźwięk – tak częsty wśród jego rodaków – między słowem a czynem. On sam zdecydowanie skłaniał się ku temu drugiemu, do tego stopnia, że bliski był idei usprawiedliwienia poprzez czyny, nie przyjął jednak całkowicie tej katolickiej dewizy.

Poza tym, że był moralistą, Bonifacio był też humanistą o solidnym przygotowaniu filologicznym, zbliżonym do takiego, jakie osiąga się zazwyczaj jedynie poprzez studia uniwersyteckie. Jego zacięcie filologiczne było bliskie pedanterii, a jego skłonność do przesady mogłaby być naganna, gdybyśmy nie wiedzieli, że wypływała z kompleksu niższości. Bonifacio, jak już wspominałem, pod względem psychicznym nie był człowiekiem wolnym; cierpiał między innymi na manię prześladowczą. Dobrze się stało, że nie mając u swego boku małżonki, samotnie przeżył swe życie, ponieważ takie życie, jakie prowadził, w sumie było zgodne z jego charakterem, a dzięki jego osobistym predyspozycjom stanowiło egzystencję zupełnie wyjątkową.